

**IX Liceum Ogólnokształcące im. Karola Libelta w Poznaniu**  
**Konkurs w ramach projektu „Z wojskowym plecakiem przez świat”**

**Aleksandra Maria Oto**

klasa I gimnazjum

**Zespół Szkół Ogólnokształcących w Krzyżu Wielkopolskim**

**Tytuł pracy:**  
**„Taki los był mi pisany”**

***„Prawdziwym patriotą jest ten, który nie ze wszystkiego jest zadowolony w swej ojczyźnie, to człowiek, który pragnie i walczy o to, by w niej było lepiej”***

***Karol Dickens***



***Pragnę serdecznie podziękować Panu Aleksandrowi Zakrzewskiemu bohaterowi mojej pracy za poświęcony czas, cierpliwość, życzliwość i przekazanie swoich wspomnień i pamiątek.***

***Aleksandra Maria Oto***

## **Spis treści**

<b>Wstęp.....</b>	<b>4</b>
<b>Rozdział I. Syberia, powrót do Polski, moje dzieciństwo i młodość .....</b>	<b>5</b>
<b>Rozdział II. Nowe życie w cieniu zbliżającej się wojny.....</b>	<b>17</b>
<b>Rozdział III. W partyzanckich szeregach.....</b>	<b>28</b>
<b>Rozdział IV. W mundurze Wojska Polskiego.....</b>	<b>35</b>
<b>Zakończenie.....</b>	<b>54</b>
<b>Literatura.....</b>	<b>55</b>

## Wstęp

Pragnę przedstawić historię Pana Aleksandra Zakrzewskiego, urodzonego w 1919 roku w Chabarowsku na Syberii, jego rodzina przebywała wówczas na zesłaniu za działalność patriotyczną. Bohater w swoich wspomnieniach, ciągle żywych i bolesnych, opowiada o losach swoich i najbliższych, o trudnej drodze do ukochanej Ojczyzny, o chłopcu, który musiał przedwcześnie dorosnąć. Mówi o przygodzie z harcerstwem oraz o ukochanym sporcie – kolarstwie, a także o życiu i pracy w czasie II wojny światowej, działalności partyzanckiej pod pseudonimem „Kozak”, a następnie pracy w strukturach Wojska Polskiego.

Chcę poprzez tę pracę zaapelować, że należy głośno mówić o takich ludziach jak Pan Aleksander Zakrzewski i mu podobnych żyjących w latach walki o niepodległość. Należy wspominać, aby starsi nie zapomnieli, a młodzi pamiętali, że byli tacy ludzie, odważni żołnierze tamtych czasów, którzy walczyli o wolną Polskę.

Oni na zawsze powinni pozostać w naszej pamięci, bo mieli odwagę myśleć i mówić prawdę o tym, czego byli świadkami. Sybiracy są symbolem walki o godne życie, walki o Polskę- tą małą tam na Syberii, tęsknoty za krajem ojców oraz trudnych powrotach na łono Ojczyzny.

Młodym ludziom takim jak ja, żyjącym w wolnej Polsce, potrzebne są autorytety i wzorce do naśladowania. Nie można pozwolić, aby młode pokolenia Polaków o tych ludziach i ich losach zapomniało.

„ Nie pytaj, co twój kraj może zrobić dla ciebie, zapytaj,  
co ty możesz zrobić dla swojego kraju”

John F. Kennedy

## Rozdział I

### Syberia, powrót do Polski, moje dzieciństwo i młodość.

Tak to się wszystko zaczęło..... Ja to muszę wspomnieć, bo mówię o swoich przodkach, od kiedy to się zaczęła historia patriotyzmu mojego. Z czasów krwi po prostu. Ojciec mój mając 14 lat znalazł się na Syberii, bo jego matka (moja babcia) została tam wywieziona za to, że była patriotką, pochodziła z rodziny szlacheckiej i miała wykształcenie. W dawnych czasach szkoła gospodarstwa domowego miała duże znaczenie. Ona miała szczęście, została wzięta do gubernatora w Irkucku jako kucharka. Wtenczas swojego ojca ściągnęła. Nie wolno jej było wrócić do Polski, ale miała już swobodę! Ojca ukrywała w kuchni pod stołem. Moja mama również została wywieziona z całą rodziną na Syberię, ponieważ wtedy były takie konspiracyjne organizacje i przywódcy wywożeni byli na Syberię. Oni byli już więzieni. Członkowie organizacji dostawali trzy dni na opuszczenie Polski. Musieli wyjechać w głąb Rosji, poza Ural i nie wolno im było powrócić. Mieli prawo zabrać do pociągu co im się udało. No to ile mogli zabrać?, ale dziadek był bardzo rodzinny więc nie chciał zostawiać rodziny. Z całą rodziną wyjechał. Był trochę cieślą, trochę stolarzem i dawał sobie tam radę. Na Syberii poznali się i pobrali moi rodzice.



Dziadkowie, ciotki i wujkowie pana Aleksandra Zakrzewskiego – druga połowa XIX wieku.



Matka pana Zakrzewskiego – Stanisława Zakrzewska z domu Turketti.

Ja urodziłem się 12 lutego 1919 r. w Chabarowsku na Syberii. W czasie rewolucji, kiedy powstało państwo polskie, w 1920 r. wszyscy Sybiracy wracali do kraju jak mogli. Stały pociągi. Jeżeli czytaliście „Przedwiośnie” Żeromskiego w jednym rozdziale pisze ...jak to tymi parowozikami wracali Polacy z dalekiej Syberii. Więc ja jestem jednym z tych, o których Żeromski pisał. Powroty były ułatwione, jednym wagonem 4 rodziny mogły jechać. W takim towarowym wagonie na środku był piecyk, czajnik z wodą, można było coś ugotować i jechało się tygodniami. Od czasu do czasu gdzieś w tajdze pociąg się zatrzymywał, bo paliwa nie było, więc podróżni musieli wchodzić do lasu z piłami rżnąć drzewa, bo to nie węglem palili tylko drzewem. Były też przerwy innego rodzaju, a że się parowóz popsuł gdzieś tam na trasie między miastami, a tam miasto od miasta to było 100 km przynajmniej. Popsuł się parowóz, to trzeba było remoncik zrobić, który trwał 2 - 3 dni i więcej, żeby przyspieszyć remoncik, to jeden podróżny profesor brał czapkę czy kapelusz, szedł od wagonu do wagonu i zbierał ruble. I jak nazbierał tych rubli, to remoncik się kończył i jechało się dalej. W ten sposób dziadkowie przyjechali wcześniej trochę. Tu mieli swoją posiadłość, tą posiadłość częściowo odzyskali w lubelskim, zostali tam. Natomiast mój ojciec pracował, dorobił się maszynista był, to był jego ideał. Dostał się i w trakcie podróży miał wrzód na żołądku i miał wylew tak, że w Moskwie jeszcze go operowali. Już były władze komunistyczne, ale były na tyle przychylne, że jeszcze ojca operowali.

Prawie rok czasu trwała podróż z Syberii do Polski, do tego na granicy w Mińsku Białoruskim była obowiązkowa kwarantanna dla wszystkich wracających Polaków. Był olbrzymi barak i tam dwa tygodnie wszyscy musieli koczować zanim wpuścili nas do kraju. Miałem wtedy 5 lat. Panował tam smród, brud, wszy. W czasie tej kwarantanny cała moja rodzina, ojciec, mama i 5 dzieci wszyscy przechorowali tyfus, tylko ja jeden nie chorowałem. Matka ojca nie przeżyła tej choroby, 27 lat czekała na powrót do Polski, niestety zmarła z wielkim żalem, tak się cieszyła, że do Polski wraca i została tam martwa. Czego żałuję, to tej babci. Ona była tak nastawiona przeciwko ruskim, zrozumiała dlaczego, że tam nie wolno było w domu mówić inaczej, niż po Polsku. Te dzieci starsze, ta siostra, która chodziła do szkoły, to mogłam powiedzieć po rosyjsku bo musiała. Ja przyjechałem do Polski jako 5 letni chłopak . Taka była babcia - zawzięta patriotka.

Myśmy początkowo, chowali się u dziadków na gospodarstwie koło Puław. Babcia pochodziła z bogatego domu z Bronowiczów spokrewnionych z rodziną Czartoryskich, jej babcia była z domu Czartoryska. Urządzili się tam, a ojciec szukał pracy. Dostał się do fabryki broni w Radomiu i tam zamieszkaliśmy. Początkowo w baraku jednopokojowym, w dużej izbie cała rodzina, była kuchnia i łazienka. Rok czy dwa potem dostaliśmy mieszkanie. W Radomiu chodziłem do szkoły i jestem z tego dumny. To była pierwsza nowoczesna szkoła im. Gabriela Narutowicza.



Radom rok 1933, klasa VII, Szkoła Podstawowa im. Gabriela Narutowicza.


Aleksander Zakrzewski stoi trzeci od prawej w ostatnim rzędzie.

W szkole były prysznice, obowiązkowo raz w tygodniu kąpiel dla wszystkich uczniów. To była pierwsza szkoła koedukacyjna – klasy mieszane ( chłopcy i dziewczynki). Moją wychowawczynią była Pani Chlewska. w kl. 1-3. Obowiązkowo trzeba było chodzić w mundurkach, chłopcy musieli nosić spodnie i marynarki, kołnierzyk ze stójką, dziewczynki w granatowych mundurkach miały kołnierz z elementami marynarskimi.

Dużo się tam nauczyłem, również patriotyzmu, duch po odzyskaniu niepodległości był wielki w narodzie. Szczególnie wśród młodzieży, jeszcze bardziej rozwijał się patriotyzm, działała organizacja młodzieżowa ZHP, wzorem byli harcerze lwowscy, którzy walczyli o obronę Lwowa. Tak, że od dzieciństwa to byłem tym harcerzem. W szóstej klasie harcerzem zostałem, aż skończyłem szkołę, zacząłem pracować. W tej szkole już od czwartej klasy można było należeć, najpierw to były zuchy. Kiedyś na początku były wilczki. Mieliśmy nawet taką głowę wilczka przypiętą mosiężną, taką niedużą. To była nasza nazwa, później została zmieniona na zuchy. W szóstej klasie harcerzem zostałem, aż skończyłem szkołę, zacząłem pracować.

Mając 15 lat poszedłem pracować do fabryki jako robotnik tokarz. Szkoła kończyła się w czerwcu jak zwykle, a ja 15 maja poszedłem, już do roboty, bo była możliwość przyjęcia. Akurat było wolne miejsce, ojciec tam pracował i mnie ściągnął, byłem młody, żyć się chciało, a tu trzeba było 8 godzin pracować, ale ojciec nauczył mnie zawodu. To było przed wojną i teraz jest, że można chodzić do szkoły zawodowej popołudniowej i zakład codziennie zwalniał dwie godziny wcześniej i można było się uczyć, ja najpierw chodziłem do szkoły zawodowej , ukończyłem ją. Pracowałem, ojciec uczył mnie zawodu, zostałem jako goniec przyjęty, będę ciężko pracował. Ojciec był brygadzystą pracującym, wziął mnie do swojej brygady, nauczyłem się rzemiosła. Chodziłem do szkoły zawodowej, nauczyłem się wszystkiego obrabiarki, strugarki, lutowania.



Nr. ....	20 X 949 / 34			
Nazwisko	Zakrzewski			
Imię	Aleksander			
Data urodzenia	12 Lutego 1919 r.			
Miejsce urodzenia	Stacja 508 / Rosja			
Imię ojca	Bronisław		matki	Stanisława
Zawód	pry rodzicach			
Miejsce zamieszkania	m. Radom			
Wzrost	średni			
Twarz	owalna			
Włosy	czarne			
Oczy	niebieskie			
Znaki szczególne				
Wydany dnia	20 PAZ 1934			

*Prezydent miasta Radom*  
Podpis

*Aleksander Zakrzewski*  
(Własnoręczny podpis osoby wyszczególnionej w dowodzie)

Stosownie do art. 19 rozp. Prezydenta R. P. z dnia 16 marca 1928 r. (o ewidencji i kontroli ruchu ludności (Dz. U. R. P. Nr. 32, poz. 309))  
oświadczam że wymieniony(a) w niniejszym dowodzie  
p. *Zakrzewski Aleksander*  
jest obywatelem(ka) polskim(a), co zostało stwierdzone  
na podstawie *Województwa z Krajag w d. 25/35*  
*St. 20/35* *M. 1/35* *M. 1/35*

*ADOM*  
Proces powiatowej władzy administracyjnej ogólnej  
Dnia 22 25 / 35  
12 19 35  
Podpis

WYCIĄG	
Z ART. 18 I 19 ROZP. PORZĄDZENIA PREZYDENTA R. P. Z DNIA 16 MARCA 1928 R. O EWIDENCJI I KONTROLI RUCHU LUDNOŚCI (Dz. U. R. P. Nr. 32, poz. 309).	
Art. 15.	
<p>Na ul. ... legitymowała się wydawane będąc na ządanie ... gminy dowody osobiste osobom w tym ... zamieszkałym i zameldowanym. Za dowody te pobiera się 60 gr tytułem zwrotu kosztów druku. Zadnym innym opłatom dowody osobiste, tak również podania (wraz z załącznikami) o ich wydanie, nie podlegają.</p>	
<p>Osoby, posiadające dowody osobiste, wymienione w artykule poprzednim, mogą prosić powiatową władzę administracji ogólnej o zaświadczenie w dowodzie osobistym, że są obywatelami polskimi.</p> <p>Powiatowe władze administracji ogólnej nie odmówią zaś wiadczenia, jeżeli po sprawdzeniu stwierdzą, że osobie, starającej się o zaświadczenie, przysługują rzeczywiście obywatelstwo polskie.</p>	
<p>Województwo ... Powiat ... Gmina ...</p>	
<p><b>DOWÓD OSOBISTY</b></p> <p>Ser. A. No 859346</p> <p>wydany na podstawie art. 18 rozp. Prezydenta R. P. z dnia 16 marca 1928 r. o ewidencji i kontroli ruchu ludności (Dz. U. R. P. Nr. 32, poz. 309).</p>	

Dr. Karola Państwowa Nr 59958, 20.V.32, 100.000.

Książeczka dowodu osobistego pana Aleksandra Zakrzewskiego wystawiony 20 X 1934r.

Pan Aleksander Zakrzewski w wieku 15 lat.

Publiczna Szkoła Doksztalcająca Zawodowa

w Radomiu

Nr 344

Rok szkolny 1935/36

### ŚWIADECTWO UKOŃCZENIA

Lakrzewski Aleksander

urodzony dnia 12 lutego 1919 r. w In (Rosja)

województwa ..... wyznania rym.-kat.

zawodu slusarskiego - tokarskiego, przyjęty do szkoły

w dniu 27 sierpnia 1934 r. do klasy drugiej

na podstawie świadectwa ukończenia 7 klas szkoły

powozecznej

ukończył w czerwcu 1936 r. całkowity 3 letni

kurs nauki w dziale metalowym

Radom, dnia 20 czerwca 1936 r.



KIEROWNIK SZKOŁY

*[Signature]*

CZŁONKOWIE RADY PEDAGOGICZNEJ:

*[Signatures of members of the Pedagogical Council]*

Sign. P. D. Z. U. 1.

Drukarnia Państwowa Nr 75725, 22.III.35 50.00.

Cena gr 15.

Świadectwo ukończenia 3. letniej Publicznej Szkoły Zawodowej Radom 20 VI 1936r.



Zaświadczenie z dnia 21 X 1936r. informujące o zatrudnieniu Aleksandra Zakrzewskiego jako robotnika młodocianego w Radomskiej Fabryce Broni od dnia 23 V 1934r.

Byłem wykształcony jako tokarz, ale przed wojną rzemieślnik bez dyplomu czeladniczego nie był uznawany nie miałem pewnych uprawnień i przede wszystkim wynagrodzenie się z tym wiązało, a szkoła wieczorowa zawodowa jaka była, nie dawała tych uprawnień. Żeby je zdobyć to musiałem odbyć 3-letnią praktykę, przejść kurs czeladniczy i zdać egzamin w Izbie Rzemieślniczej, wtedy zostałem wykwalifikowanym rzemieślnikiem.

Nr 392

# ŚWIADECTWO

ZŁOŻENIA EGZAMINU NA CZELADNIKA

Aleksander Zakrzewski



urodzony dnia 12 lutego 1919 roku  
w In

województwa Rosja

wyznania Kym.-kat.

po uzyskaniu świadectwa ukończenia szkoły

Rzemieśniczo-Przemysłowej  
im. Kilińskiego w Radomiu



Zakrzewski  
Podpis

poddał się egzaminowi na czeladnika

1938 r. przed komisją dla egzaminów

dniu 18 czerwca

na czeladnika przy Szkole Rzemieśniczo-Przemysłowej  
im. Kilińskiego w Radomiu

powołaną na podstawie art. 156 ust. 1 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 7 czerwca 1927 r. o prawie przemysłowym (Dz. U. R. P. Nr 53, poz. 468) w brzmieniu ustawy z dnia 10 marca 1934 r. (Dz. U. R. P. Nr 40, poz. 350) i złożył egzamin na czeladnika z wynikiem pomyślnym.

Na podstawie art. 156, ust. 4 tegoż rozporządzenia

Aleksander Zakrzewski zostaje

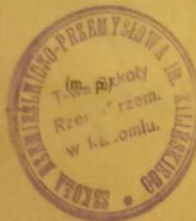
CZELADNIKIEM

przemysłu tokarskiego

Radom, dnia 21 czerwca 1938 r.

PRZEWODNICZĄCY KOMISJI

PRZEDSTAWICIEL IZBY RZEMIEŚLNICZEJ



Edward Galecki

Sig. Z. C. U.

Drakarnia Państwowa nr 10935, 20.V.36, 6501.

Cena 16 gr.

Świadectwo złożenia egzaminu na czeladnika przemysłu tokarskiego przy Szkole Rzemieśniczo-Przemysłowej im. Kilińskiego w Radomiu.

Radom dnia 21 VI 1938r.

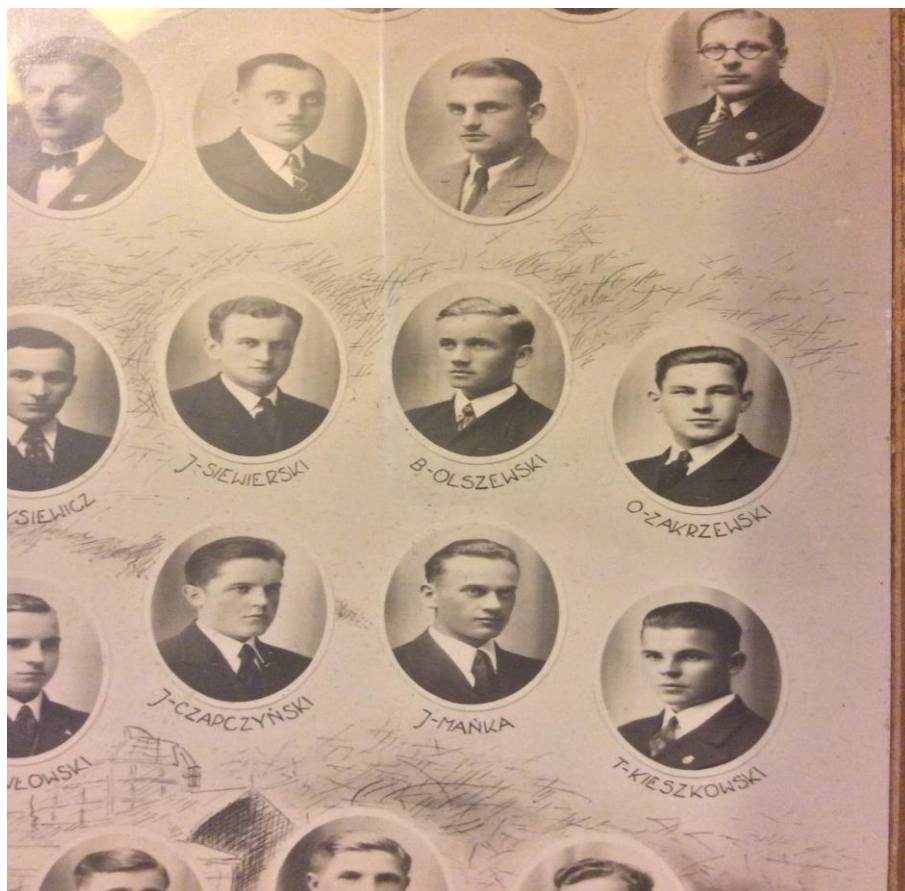
W czasie pracy miałem taką przykrą sprawę. Majstra, który był bardzo dobry, dużo mnie nauczył. Naprawdę zawdzięczam mu, że się dużo nauczyłem. Bardzo go żałuję bo jak Niemcy weszli, powiesili go. Zrobili to w pierwszym dniu dla zastraszenia pracowników. Wybrali tak przypadkowo 10 osób, zrobili szubienice przed zakładem, wszystkich spędzili i kazali oglądać egzekucje. Kiedyś majster ten dał mi polecenie, żeby wykonać samodzielnie taką gałkę, ja byłem pewny siebie, zrobiłem ją na oko. Dostałem wtedy taki ochrzan, że było mi przykro i postanowiłem skończyć szkołę, w następnym roku dostałem się do technikum. Załatwiłem, że na podstawie świadectwa ukończenia trzyletniej szkoły zawodowej, dostałem się z egzaminem na drugi rok i o rok przeskoczyłem, skończyłem technikum jako prymus.



Radom 1937r., Szkoła Rzemieślniczo- Przemysłowa. Harcerska Drużyna Żeglarska.

Aleksander Zakrzewski oznaczony kropką trzyma sztandar.

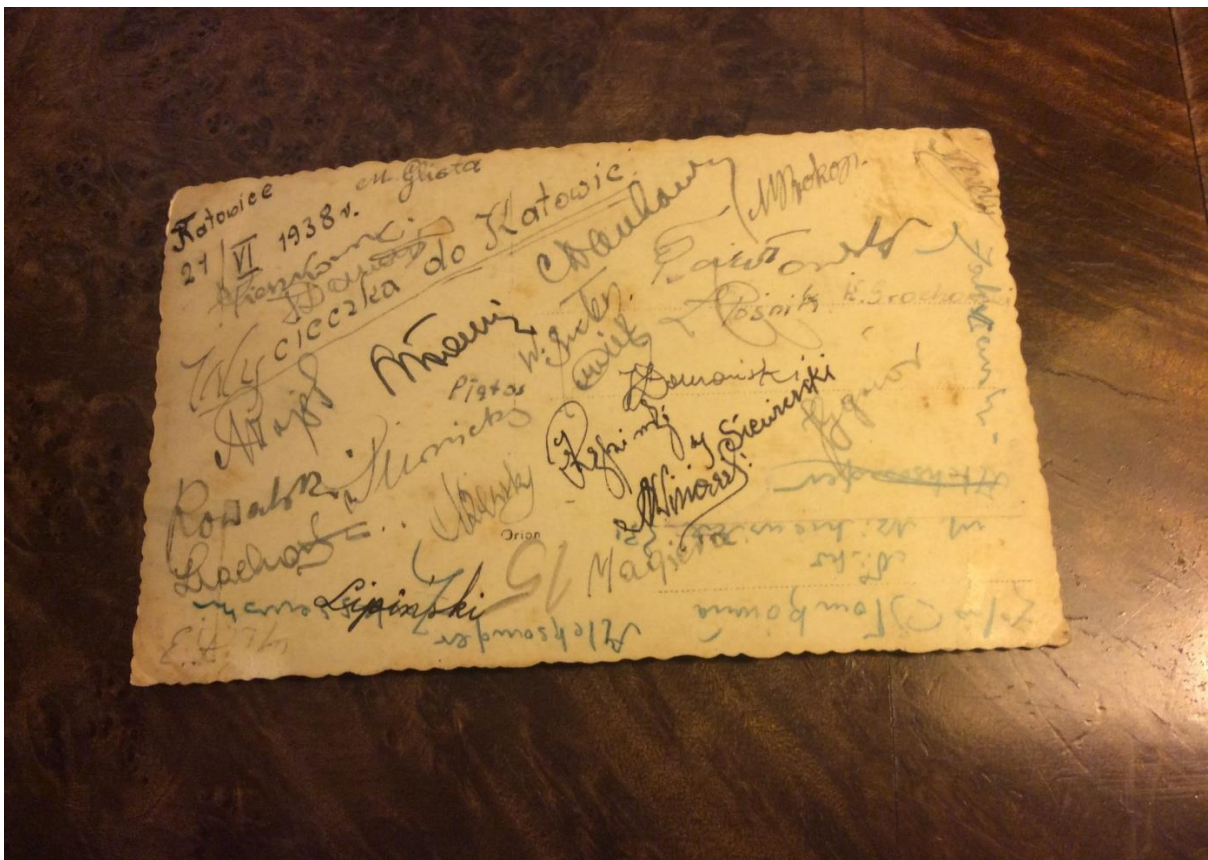
Zakład fotograficzny Ludwik Moller – Radom ul. Kilińskiego 15.



Tablo Aleksandra Zakrzewskiego z 1938r. z ukończenia Szkoły Rzemieślniczej w Radomiu.



Uczniowie Szkoły Rzemieślniczo- Przemysłowej z Radomia na schodach Sejmiku Śląskiego w Katowicach w dniu 29 VI 1938r.



Podpisy uczestników wycieczki do Katowic z dnia 29 VI 1938 odnosi się do zdjęcia powyżej.



Pan Aleksander Zakrzewski z lewej strony z kolegą Marianem, uczeń szkoły rzemieślniczej w Radomiu, czapka ucznia szkoły zawodowej, rok 1938.



## Rozdział II

### Nowe życie w cieniu zbliżającej się wojny.

Teraz zaczęła się moja wędrówka za chlebem. Pierwszy raz wyjechałem z domu, od rodziny. Ojciec i matka byli jak kwoka i kogut, pilnowali swoich dzieci. Bardzo dużo im zawdzięczam, ojciec jeden pracował, starał się, żeby dzieci głodne nie były i żeby miały się w co ubrać. Budowano zakład w Stalowej Woli, była to nowo powstała miejscowość na terenie Centralnego Okręgu Przemysłowego, który powstał przed samą wojną. To był nowo powstały zakład w lesie -Stalowa Wola to była pustynia, to były tereny niezaludnione. Nie wiem, czy słyszeliście coś o tym ministrze Kwiatkowskim, on budował Gdynię. Jeśli o nim słyszeliście to był premier, jeden z najlepszych premierów Polski. On właśnie zorganizował to, żeby rozładować tą biedę, tą nędzę powojenną, po niewoli tworzył Centralny Okręg Przemysłowy, popowstawały państwowe fabryki, Radom, Starachowice, Stalowa Wola, Rzeszów. To był ten Centralny Okręg Przemysłowy, który przed samą wojną powstał. Dostałem się tam do pracy. Nie było łatwo, miesiąc pod bramą czekałem dzień w dzień na kolejkę aby mieć miejsce, aż przyjęli mnie na próbę. Bardzo dobrze wypadłem w tej próbie, później targowałem się o stawkę. Był tam ojca kolega, który mi doradzał: „Oleś, żądaj złotówkę na godzinę” Ja? Złotówkę na godzinę... sumienie mi nie pozwalało. „Żądaj, bo jak ci zabraknie pieniędzy, to ci rodzice nie pomogą” – powiadał i tak dostałem.

Powodziło mi się dobrze, miałem rower, motocykl i radio, to był luksus a mnie było stać. Zarabiałem co roku na nowy garnitur, aż nastąpiła wojna 1939 r. Chcę jeszcze tylko dodać, że cały czas w czasie pobytu towarzyszyło mi to harcerstwo, to cała rodzina, bracia, wszyscy harcerzami. Przy fabryce broni była tzw. dziesiątka drużyna harcerzy, takich starszych, poza szkolnych. Jeździłem na dużo obozów, później byłem wszędzie, byłem w Zakopanem na kursie wodzów zuchów. Ja w Stalowej Woli skontaktowałem się z hufcowym Rurebkiem i on był pierwszym hufcowym, a ja byłem pierwszym wodzem zuchów w Stalowej Woli.



Obóz harcerski.



Obóz harcerski w Worochcie, 1935r.



Obóz harcerski 1935r., Polanica Poponieczowska, w drodze na Klimczak.



Krynica, 1936 rok. Ja z lewej strony z kolegą Przemkiem Sadowskim w szeregach harcerskich.



Na granicy polsko- rumuńskiej w Howerli, 1936r.

Ale muszę jeszcze wrócić do jednej sprawy z Radomia z 1937 r. Niemcy szykowali się już do napaści na Polskę, Ja to pamiętam. Były tam próby w Anszlus. W Polsce było pełno szpiegów. Ja nie wiedząc o tym, miałem kolegę, który chodził do tej samej szkoły co ja, łączył nas sport, ponieważ ja byłem sportowcem. Jeździłem wyczynowo na rowerze, byłem mistrzem juniorów województwa kieleckiego. Dobrze się zapowiadałem.



Wyścig kolarski szosowy o mistrzostwo sezonu, I miejsce -1937 rok.

Rower nazywany „Balon”, obręcze były drewniane, w kołach tzw. felgi.

Mistrz kolarstwa juniorów, panu Aleksandrowi przyznano międzynarodową licencje kolarską.

Sekcja kolarska znajdowała się w Radomiu. Klub Kolarski nazywał się „Broń”.



Wyścig kolarski szosowy o mistrzostwo sezonu 1937 rok.

Pan Aleksander ścigał się na torze w Radomiu i na szosach.



Zdjęcie grupowe po wyścigu kolarskim 1937r. Rower sprzedałem gdy podjąłem decyzję o przejściu do konspiracji.



Po wyścigu kolarskim 1937r. Pan Aleksander pierwszy od lewej.



Pan Aleksander w Wilnie 1937r. , w towarzystwie kuzynki i jej koleżanki.  
Przejazd rowerem z Radomia do Wilna w ramach treningu kolarskiego zajął 3 dni.



Jurek Kun, grał w piłkę nożną w klubie Broni Radomskiej. Po szkole spotykaliśmy się na treningach na stadionie im. Józefa Piłsudskiego, wewnątrz było boisko sportowe, a od strony zakładu tor kolarski, było tam też lodowisko, on robił mi zdjęcia, a ja piruety kręciłem, jak to młody. Po tygodniu zostałem wezwany na prokuraturę, dowiedziałem się, że Jurek został aresztowany pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Niemców, bo fotografował nowo wybudowany szpital wojskowy, który był w tle, trzy razy wzywany byłem na rozprawę. Kunów było trzech braci, jeden był nauczycielem w Bydgoszczy, dwóch pracowało w Radomiu w fabryce broni, gdzie produkowany był polski pistolet Vis. Oni instrukcję produkcji kopiowali i przekazywali, zostali złapani, jak była olimpiada w Berlinie w motorze, w rurkach schowane były te instrukcje, a w domu mieli jeszcze radiostację. Wszyscy trzej zostali aresztowani i siedzieli w więzieniu na Św. Krzyżu w Górach Świętokrzyskich w klasztorze na Łysej Górze, gdzie było najcięższe więzienie w Polsce.

Z ich powodu nie mogłem już wrócić do domu, musiałem zostać w Stalowej Woli, zostałem ostrzeżony ja i mój brat. On został powołany do wojska a ja nie, bo nie wiedzieli, gdzie jestem. Zostałem sam, po pół roku Niemcy wezwali mnie do pracy. Nie chciałem się zgodzić pracować dla Niemców, ale musiałem, miałem wtedy 20 lat. Tam pracowałem do 1942 roku i działałem w konspiracji jako harcerz. Nastąpił rok 1941, Niemcy szykowali się na Związek Radziecki, szły wojska do granicy, hufcowy poprosił mnie, aby zbierać dane o uzbrojeniu wojska i jemu przekazywać pod Rubkiem. W maju 1942r. aresztowano hufcowego i innych, ja zostałem uprzedzony przez jakiegoś Gutka, który został zastrzelony na dachu, jak uciekał, ja ocalałem, ale aresztowany zostałem.... za motocykl. Wszystkie motocykle, rowery trzeba było oddawać, a ja swój motocykl miałem ukryty, rozebrany na części, zakonserwowany i stał za szafą. To był mój ideał, byłem w nim zakochany, wszystkie oszczędności na niego przeznaczyłem i postanowiłem, że nie oddam. Był to motocykl typ BSA 250 zakupiony w marcu 1939r. W zakładzie pracy wszystkich tych, którzy mieli motocykle ściągali na gestapo, ja wiedziałem, że idę w sprawie motocykla, bo wiedzieli, że kupiłem, ale im nie oddałem. Miałem kolegę, który miał wynajem narzędzi, Czesław Patykiewicz się nazywał, to był mój przyjaciel. Mieszkałem blisko rzeki San, więc poprosiłem, żeby go w niej utopił. „Załatwione” - odpowiedział. Mnie Niemcy trzymali trzy dni i tak mnie męczyli, że bym się przyznał, a ja kręciłem, kłamałem. Trzymali mnie o kawie i suchym chlebie, bili mnie po pysku, po głowie aż sikałem po majtkach. Był tam żandarm w zielonym kapeluszu tyrolskim z piórkiem, który się tak znęcał. Byłem niewyspany, zmęczony, miałem się przyznać gdzie ukryłem motor, ale wiedziałem, że jak bym się

przyznał, to i tak by mnie nie puścili, a po drugie wydałbym kolegę, który go utopił i to powodowało, że się nie zламаłem. Po trzech dniach miałem zostać rozstrzelany, wyprowadzali mnie. Gestapo to było na terenie zakładu, stoi gawiedź z żandarmerii. Podprowadzili mnie i wszyscy wyszli tam za mną, ja zatrzymałem się i tak sobie pomyślałem: „Żegnaj ojczyźnie, bracia siostry nie zobaczą was już więcej” - a tu Niemcy kolbami wpychają mnie do samochodu.

I w tym momencie ten w tym tyrolskim kapeluszu, to był jakiś przywódca, krzyknął: „Halt!”, ale tak, że Niemcy na baczność stanęli... Powiada: „Komm!”, myślę „Będzie mnie znowu bił”, a on mi przepustkę daje.... i to będę pamiętał do końca życia. Zastanowiłem się, co oni ze mną zrobią. Idę tak powoli i się nie oglądam. Wtedy skręciłem w bok, w uliczkę, tam patrzę czy stoją, wypuścili mnie po to, aby śledzić, nie było innego wyjścia, jak tylko spakować manatki i pójść do lasu. Uciekłem, a po dwóch dniach przyszli mnie aresztować, ale mnie już nie było. Mój motor kolega nie utopił. Po sąsiedzku mieszkał Amerykanin, którego Niemcy nie ruszali, u niego w stodole schował. Następnie jeden z moich kolegów, który był w partyzantce, zabrał ten motor i wywiózł za San. Tam go zakopali w skrzyni w stodole, plewami zasypali, po wojnie odzyskałem motor .

Nastał październik, wziąłem wyplatę, wsiadłem w pociąg i jadę do dziadków. Nie zdawałem sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie podjąłem. Nie wolno było z miasta do miasta bez przepustki jechać, a ja nocnym pociągiem się wybrałem. Dojechałem do Puław, wysiadłem, ze stacji miałem drogę przez piachy, przez niezabudowane tereny prawie 3 km. Znałem obejścia boczne i idę, gdzieś tylko jałowiec rośnie. Jestem bez broni, bez niczego, po prostu na los szczęścia liczę. Co będzie? Uszedłem kilometr, półtora i słyszę jakąś rozmowę, ktoś idzie... jak partyzanci to dobrze... idę, a jak Niemcy, tu mnie strach obleciał. Patrzę, idzie sylwetka ciemna i do kogoś mówi, a ja nie widzę osoby, z którą rozmawia. W duchy nie wierzyłem, ale jest już prawie 10 m przede mną, a mi czapka do góry się podnosi, tak się bałem. Poszedłem na drugą stronę koleiny idę, mijamy się bez słowa, poszedłem dalej. Potem, gdy byłem w partyzantce, okazało się, że była to kobieta, którą Niemcy zgwałcili, zabili jej dziecko, a ona od tego dostała pomieszania zmysłów. W partyzantce byłem majstrem od naprawy broni, narzędzia miałem, bo zabrałem z fabryki, żyło mi się dobrze, tylko rodzina moja rozpaczała, bo nie wiedzieli, co się ze mną dzieje? Ja nikomu nie powiedziałem. Miałem taką śmieszna przygodę z gitarą, którą zdobyłem. Melancholia mnie naszła i zacząłem śpiewać, zwróciłem na siebie uwagę partyzantów, chcieli mi sprawić manto, bo mogłem w ten sposób zdradzić ich kryjówkę, a ja uciekłem przed nimi.

Schowałem się w stodole, zgrzebałem w słomę i mnie nie znaleźli. „Ty masz szczęście, bo byś dostał manto za to, że zdradzasz, że ktoś tu jest” – zagrozili. To były Bataliony Chłopskie, ruch oporu. Jedna grupa była w lesie na górze, która uciekła przed aresztowaniem, podobnie jak ja. Miałem serdecznego kolegę, nie wiem, czy on jeszcze żyje, pierwszy nawiązałem kontakt z tym Kowalikiem. Był on szefem referatu wojskowego w Puławach i członkiem Batalionów Chłopskich. On wszystko o mnie wiedział i mam odręczne pismo, opinie o mnie, gdzie byłem, co robiłem, w tym czasie brakowało papieru. To był jakiś druk, na jednej stronie było coś nadrukowane, a druga strona jest odręcznie zapisana z pieczętą.

„Ukrywał się, był ścigany przez Niemców i był obywatelem prowadzącym się moralnie”- coś takiego napisał, bardzo dobrą opinię mi wystawił. Byłem tam od sierpnia 1942 r. do maja 1944r. Krótko przed wyzwoleniem mój ojciec zachorował, udałem się do niego do Radomia, bo już miałem wyrobiony fałszywy dokument i już śmielej mogłem się poruszać.

## Rozdział III

### W partyzanckich szeregach.

Zbliżał się front wschodni, Niemcy uciekali, zabierali, co mogli. W Rąbłowie na Wyżynie Lubelskiej między Kazimierzem a Nałęczowem w Lasach Janowskich było skupisko partyzantów i była tam wielka bitwa. Zjednoczyły się wszystkie partyzantki Bataliony Chłopskie, ZWZ i AK. Partyzanci potrafili strącić samolot, dużo poległo żołnierzy, ale przerwali okrażenie. Straty były ogromne i tam do dziś dnia istnieje Szkoła Podstawowa im. Partyzantów w Rąbłowie. Tam mieliśmy spotkanie po wojnie z dowódcą tych Batalionów Chłopskich. W tamtym rejonie był gen. Korczyński, pseudonim Grzegorz. Na tym spotkaniu, wspominaliśmy takiego bardzo zdolnego człowieka, który był z zawodu szewcem. To starszy człowiek, służył w armii austriackiej i rosyjskiej, jeszcze przed pierwszą wojną światową, znał język francuski, niemiecki, rosyjski i polski. Ten dziadek, Prochowiec się nazywał a przezwisko miał Jałowiec, dużo nam pomógł z tym językiem w różnych akcjach. Prochowiec wygłaszał nam różne kazania z kart. Ja tego nie zapisałem, ale on umiał tak te kazania z kart mówić, każda karta miała jakąś postać biblijną. Jak tam byliśmy, to ten dziadek wypił za dużo i nogi trochę mu się zaczęły uginać. Co mi się bardzo podobało: łóżka były bardzo wysoko ścielone, pierzyny na łóżku kładzione a na nie poduszki. Kolega wziął go na ręce i położył na łóżko z takim szacunkiem, że naprawdę było to bardzo przyjemne. Jałowiec pochodził z wioski Pożóg. Przyległa ona do Wyżyny Lubelskiej. Niemcy przyjechali ją zlikwidować, kiedy stwierdzili, że wioska pójdzie z dymem, podpalili jedną chatę, więc on wyskoczył do tego dowódcy, po rusku do niego zaczął mówić, otwiera klapę płaszcza, a tam tzw. obrzynek - karabiny miały obcięte lufy do połowy, żeby tak daleko nie niosły, stanął przed nim i powiada „Ja was ostrzegam podpaliliście chatę, niech się spali, idźcie zameldujcie, żeście wykonali zadanie i jesteście wolni, bo inaczej nikt z was żywy nie wyjdzie” - tak ich potrafił zastraszyć, że zwinęli manatki, a wioska ocalała.

Drugi przypadek był inny. Z drugiej strony Kazimierza była wieś Janowiec. Tam było duże gospodarstwo, dobrze prosperujące. Jak Niemcy wkroczyli, to osiedlił się tam niemiecki bauer, on rządził. Mieszkańcy musieli w miesiącu ileś tam dni odpracować za darmo w polu tzw. Szarwark. Dla jego bezpieczeństwa, był żandarm z bronią, który robotników pilnował, poganiał do roboty, raz tak zbił jednego, że ten biedak zmarł. Do partyzantki to się doniosło, bo on już nie jednego zabił i zapadł na niego wyrok. Ja byłem tylko szarym pionkiem, jednym

z ochotników, którzy mieli pójść z tym zadaniem, a było nas w grupie chyba 3 i ten dziadek - szewc. Niemiec miał konika i taki powózek elegancki, boki rzeźbione a w środku zamiast desek, kosz taki duży pleciony i dwa siedzenia zrobione. Jeździł on nim na targowisko, załatwić sprawy. Już był wysłyszony i przygotowana została zasadzka.

Jedzie Niemiec: „Hi Hitler! Hi Hitler!”, zatrzymał się i po niemiecku gada, że jedzie do Janowca i dziadka mogą zabrać. Niemiec ustąpił na bok i ten wsiał, rozpiął się, bo miał ten swój obrzynek i do Niemca mówi: „Bierz w ręce lejce, ja tu mam swoich kolegów i zaraz się zbiorą”. Dał nam znak ręką, my wszyscy zlecieli się i jedziemy. Niemcowi nakazaliśmy, że ma mówić, że to są jego goście, a my nie znali niemieckiego, to mieliśmy się nie odzywać wcale. No i przyjechał do dworku, była w nim duża izba i tam siedzieliśmy. Miał on taki dziesięciostrzałowy mauzer, postawił go w róg, na to czekaliśmy. Ci koledzy dalej, łap za karabin i do niego: „Hande hoch”. On zbaraniał. Nie miał broni, zabrali go, poszli z nim do lasu, wiadomo w jakim celu, a my zostali z tym bauerem. Ten już trzęsie portkami, bo boi się, że z nim zrobią to samo, ale do niego nie mieli pretensji. „Nic nikomu nie mów, żeśmy tu byli. Nie wiesz, co się z nim stało. Może się utopił? Coś się stało i Niemiec już nie wrócił”. Jeszcze jedna historia, jak Niemcy z Opolo Lubelskiego pędzili bydło do Kazimierza, ja się ukrywałem, nie spałem w domu, był taki domek, przez wujka postawiony na wakacje z desek. Ja w tym domku mieszkałem, jak nie byłem potrzebny w lesie. Ja mu tą iglice zacząłem dorabiać, teraz akcja jest. On jako dowódca. Przywódca Kobuz, bo ja tak nie mogłem zrozumieć, bo na wsi trochę gwarą mówią. Ja rozumiałem Kobuz i mówiłem Kobuz. Cały dom, wszystko było obstawione przez partyzantów, bo się spodziewali, że jakąś eskortę będzie już słycać. Nawoływanie na to bydło, pędzili je chłopci i ładowali na pociągi, chodziło o odbicie tych zwierząt. Niemcy samochodami jechali do Puław. Ja jeszcze przy karbidówce bez światła, jeszcze piłuje, jeszcze próbuję, no i założyłem. On hop i już jest za mną. Poszli, a ja zostałem sam. Musiałem posprzątać wszystko, taki miałem żal do niego, że nie zdążyłem. To tam niedaleko, półtora kilometra i tylko słyszałem strzelanie. Niemcy przestraszyli się, obrócili samochody, bydło rozpędzili po wiosce a trochę dla siebie zabrali do lasu. Druga taka akcja była w Błochotnicy, między Włochatniewem a Kazimierzem są kamieniołomy. Niemcy, zrobili z nich tzw. „Bauwisz”. Zabierali młodzież od 15-17 roku życia, ci młodzi ludzie w kamieniołomach byli skoszarowani, ciężko pracowali. Obeszło się bardzo spokojnie i cicho, bo jeden podszedł do wartownika, za szyje go nożem. Nie krzyknął, szturmowy zawołał do chłopaków: „Pobudka, wolno się ubierać i do domu” - rozpędził ten obóz. Była jeszcze jedna akcja późną jesienią 1943 r. dokładnie pamiętam. Niemcom załamał się

front, cofali się i za wszelką cenę ściągali posiłki dla frontu wschodniego. Opracowali sobie coś w rodzaju katuszy, takie rakiety, wyglądały jak betoniarka, dookoła były wyrzutnie, które wyrzucały rakiety napełnione materiałem wybuchowym na odległość 1- 2 km, były to tak zwane „ryczące krowy”, użyto je później w powstaniu warszawskim. Teraz opowiem o akcji zorganizowanej przez Armię Krajową. Chodziło o wysadzenie potężnego transportu kolejowego, który szedł na wschód. Opowiem o szczegółach, bo tam byłem Między Puławami a Dęblinem jest stacja Gołęb, w okolicy był las Kozi Bór i tam była zbiórka. Wszystkie oddziały miały swoje zadanie, pociąg miał być wysadzony, wszyscy spodziewali się, że będzie tam żywność i amunicja. Było przygotowanych około 100 powozów. Można sobie wyobrazić jaka to była akcja. Gdzieś koło godziny 10 - 11 wszystkie te oddziały w spokoju, w bezwzględnej ciszy czekały. Jedni mieli wysadzić tory, drudzy podjąć walkę, jeszcze inni druty telefoniczne przeciąć. Wszystko było zorganizowane, dowódca szeptem rozkaz wydawał, każdy z nas nasłuchiwał, co będzie, czy już jedzie, nagle słyszymy - jedzie, aż tory jęczą. Dwa parowozy ciągnęły jeden na przedzie, drugi w środku. Serca coraz to mocniej biją, czuje się jak wszystko krąży w człowieku i nagle łup, słupy dymu, gwizdy, świsty wszystko w powietrzu lata. Część wagonów i las wyleciało w powietrze, fontanny ognia szły do góry. Żadnej walki nie było, bo się wszystko rwało. Szyny leciały. Coś okropnego. „Kryj się!”, „Uciekaj!” już wiedzieliśmy, kiedy nie ma szans na walkę, to się ucieka. Tam był taki zagajnik a w nim głębokie koleiny, ja się czołgam w tych koleinach, nie wiem, co się z wojskiem dzieje. Była to jedna z największych akcji, jakie przeżyłem w życiu. Były też smutne akcje. Ten dowódca Kobuz, który mnie prowadził, zginął przez przypadek. Na akcje często przeprawialiśmy się przez Wisłę łódkami, zwanymi piechówkami rybackimi. Łódkami tymi na Wiśle rybacy odławiali ryby, na niej mieściło się 6-8 osób. Na Wiśle były tzw. ostrogi regulujące koryto rzeki, były to kamienne słupy oplecione wikliną, obrzucane kamieniami żeby woda nie zabierała brzegu i osiągały 10 m w dół, do tych kamieni się dopływało i po nich się szło do brzegu. On tam przewrócił się i przestrelił pistoletem, jest to przykra sprawa świadcząca, że prawdopodobnie został postrzelony przez któregoś z kolegów, ktoś był na zdradzie, bo kiedy po wojnie spotkałem się z jego następcą, drugim dowódcą, on mówił, że Kobuz miał dużą dziurę w brzuchu, wioził go w nocy do lekarza, ale on zmarł po drodze. Inna historia - pies ujada, patrzę przez szpary, koło domu mojej babci kręci się jakiś gość w łachmanach, więc ostrożnie poszedłem i pytam- kto ty? A on mi po rusku opowiada, że wyskoczył z transportu jeńców pokaleczony, prosił o wodę, pić mu się chciało, dostał wody, kawałek chleba na podwórku. Pokazałem mu drogę w las, gdzie była kryjówka partyzantów, poszedł tam. Po jakimś czasie ,podczas akcji odbicia krów, poznałem

go, dowiedziałem się wtedy, że był lekarzem w stopniu kapitana. Nastąpiła zima on ubrań nie miał i mi mówi: „Idzie zima, ty się w domu przykryjesz, a ja w lesie zionący jestem tak po polsku zamienimy się, dam płaszcz poniemiecki, sweter i jeden przydział”. My tygodniowo mieliśmy taki suchy prowiant, chleb i inne rzeczy się dostawało, to był taki prowiant, który każdy przy sobie nosił. „Dam ci ten przydział” - serce miałem miękkie i zamieniłem się. Dużo mam do opowiadania z okresu partyzantki. Bataliony Chłopskie to były biedne oddziały. Trzeba było sobie broń zdobywać, szukać, kombinować jak kupić. Teraz mogę opowiedzieć tę nieprzyjemną historię... Nie to, że nieprzyjemną... Niekulturalną... Jak zdobywałem broń, bo jej nie miałem. Józek Jeżyna, pseudonim Niedźwiedź mówi: „My ją zdobędziemy, w niedzielę, ci Ormiance, czy oficerowie Ormiańców z dziewczynami do lasu przychodzą... na flirty. Zrobimy zasadzkę i zdobędziemy broń”. I tak było. Myśmy sobie usiedli i czekaliśmy, na nich idą z dziewczynami. Czekaliśmy na odpowiedni moment. Jeden zdjął pas z pistoletem, powiesił na bok. W końcu zrobiliśmy skok i zabraliśmy mu ten pas i ja w ten sposób miałem karabin, tak się zdobywało broń. Były także smutne sprawy, najsmutniejszą była pacyfikacja Lubelszczyzny. Niemcy otaczali całe wioski. Ja to przeżywałem przez całe życie. To byli już ludzie wyszkoleni do tego celu. Jak likwidowali wioskę Parchatka, była to druga wioska jadąc z Puław do Kazimierza, została cała otoczona przez Niemców gdzieś ok. 5 rano. Później padł jakiś sygnał i spalili ją. Wypędzali wszystkich ludzi z domów, mężczyzn zebrali na podwórku u sołtysa. Było dokładnie 27 mężczyzn w sile wieku, w tym była jedna kobieta, bo opór stawiała. Największego człowieka wybrali: „Ty będziesz sołtysem, licz raz, dwa, trzy - do samochodu, czwarty na bok. Ludzi w samochodzie zadrutowali drutem kolczastym i wszystkich wywieźli do Majdanka. Tych 27 mężczyzn skupili pod stodołą karabiny i ‘paf’. Wśród nich był jeden, który miał takie oficerskie buty z ciężkimi cholewami, padł strzał, a on zerwał się, przyłożyli karabin tak jak do zająca „puk”, on się zachwiał, przewrócił się drugi raz, drugi strzał dostał i już się nie podniósł. Podszedł do niego Niemiec, buty i zegarek mu zabrał. Ja byłem wtedy w górach, obserwowałem, bo my wszyscy byli spłoszeni tymi strzałami. Później kobiety zebrali, kazali mężczyznom zakopać na polu. Kobiety prosiły, aby tych ludzi pochować na cmentarzu we wspólnej mogile, Niemcy zgodzili się, aby pochować na cmentarzu w Włostowicach, pod Puławami. Kobiety miały szykować dla nich tyle kur, tyle jaj i różnych rzeczy wiejskich, co potrzebowali, bo inaczej „zrobimy z wami to samo”, robiły, znosiły, kto co miał. Myśmy naliczyli 27 wozów. Na każdym wozie 1 nieboszczyk. Taka karawana 5 km z Parchatki do Włostowic. Myśmy z gór widzieli wszystko na własne oczy. Druga smutna potyczka miała miejsce dokładnie 27 października 1942 roku. Niemcy małym oddziałem w góry nie

poszli, bo się bali, przeważnie wysyłali Ormiańców. Oni na koniach w 8-10 pojechali i zrobili popłoch, bo podjechali niespodziewanie, była potyczka tam w okolicach koloni Zbężłowice, to była taka kolonia w górach, to nie była wioska. Tam była potyczka między partyzantką i zginął jeden Niemiec czy Ukraińiec. Niemcy w odwecie zrobili najazd na całą kolonię. Otoczyli i zlikwidowali wszystkich mieszkańców. W takich momentach my mieliśmy nad Wisłą taką chatkę, to było miejsce spotkań, takie awaryjne. Tam z kolegą skoczyliśmy i do rana tam byliśmy, bo nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Tam szczelina była. W pewnym momencie przylatuje wysłana kobieta, podrapana od krzaków i opowiada bardzo smutną i przykrą historię. Nie było kościoła, trzeba było iść do Prożyna 3-4 km i przyszła do koleżanki, która miała małe dziecko i z nią chciała się umówić, że razem pójdą na mszę. W pewnej chwili Niemcy wpadają do środka i wyganijają, a już było zimno, ona wzięła dziecko skąpo ubrane. Ją kolbami wypychają, ona to dziecko chciała ubrać, nie pozwolili, chustki miała, takie szale wełniane i zawinęła je, stawiała opór, a oni ją nachalnie wypychali. Jej koleżanka przestraszona w kąt wcisnęła się, jej dali spokój na razie. Tą wypychali, zdążyła tylko za próg wyjść, ktoś do niej strzela. Ona się przewróciła, dziecko się potoczyło, drugi obcasem je zduślił. Dostała szoku i prosto w krzaki uciekła. Niemcy strzelali za nią, ale nie trafiali. Tych wszystkich ludzi spędzili w jedno miejsce, wybili od dzieci do starców. Nikt przy życiu nie został, wszystkie domy zostały spalone doszczętnie. My, partyzanci, po tej akcji zrobiliśmy wspólną mogiłę tych ludzi i grób ubraliśmy kwiatami, a Niemcy przyjechał i buldożerami wszystko wyrównali. Trzy razy ten grób odnawialiśmy, aż w końcu dali spokój. Z tej koloni ocalały dwie osoby, jedna to ta kobieta, o której opowiedziałem, druga osoba to sześciolatnie dziecko, wiem z opowiadania, kiedy Niemcy spędzali wszystkich do kupy, jedna matka schowała to dziecko pod spódnicę. To były takie wiejskie szerokie spódnice z falbanami i powiedziała: „Słuchaj Niemcy nas zabijają, a ty będziesz żyła, jak będziesz cicho, jedź do swojej ciotki do Pożogu”. To dziecko przeżyło i dostało się do rodziny. Lubelszczyzna bardzo ucierpiała. Drobnych epizodów nie będę opowiadał, ale ten pośrednik Tomasz Kowalik, co obrabiał dziadkom pole i mieszkam w lepiance, miał rodzinę, on pracował w Puławach, ale był związany z partyzantką i Niemcy przyszli jego aresztować. On uciekał przez płot. Uciekał, na płocie skonał. Ta kobieta, żona jego z małym dzieckiem została. Co miała robić? Poszła do rodziców na wieś. Niemcy nie dali za wygraną. Po tropie poszli za nią. Kazali wszystkim wyjść z domu i leżeć na podwórku. Zagrozili, że będą strzelać. Karabiny maszynowe celowali i ten dom podpalili, a w domu było małe dziecko w kołysecie. Ono dopiero raczkowało, dziecko obudziło się i przez próg przechodziło. Ona się zerwała, w tym momencie seria strzałów, zemdląca, nie zabili jej, tylko zemdląca. To dziecko



się spaliło. Dom się spalił, mało tego, ta rodzina, domu nie miała. Brat Kowalika przyjął ją do siebie, do tej lepianki. W lepiance jedna izba, sień i kuchnia. Jedenaście ludzi, prycze porobili, na tym nie koniec. Kiedy wychodził Tomasz do pracy, a pracował w olejarni tam przy wycisku oleju rzepakowego, obrabiał pole i brał udział w partyzantce. Jedzie samochód gestapo, zatrzymuje: „Gdzie tu mieszka Kowalik Tomasz?”. On był ten Tomasz, wrócił z powrotem do domu. Im wszystkim kazali się położyć na podłodze i z karabinów po wszystkich przejechali, 11 ludzi podpaliłi i pojechali. W ten sposób z tych 11 ludzi ocalała jedna osoba. Żona Tomasza Kowalika, z którą ja rozmawiałem osobiście - Maria Kowalik. Ocalała, ponieważ było tak ciasno, że się wszyscy nie mieścili. Ona pod pryczą na podłodze była. Dostała po udach. Kiedy dom się zaczął palić, doczołgała do okna i przetoczyła się przez okno. W wąwozie chłopci ją znaleźli i zaciągnęli do mojej babci. Ona już do końca wojny tam się chroniła i ja z nią po wojnie się spotkałem. Miała postrzelone kości. Wyleczyła się z tego. Ona mówiła że: „Jeszcze jakieś dziecko tam było, bo jęczało”. Pomóc nie mogła. Sama się uratowała, a ten Tomasz Kowalik przy piecu z tym małym dzieckiem zwęglony siedział. Takie zbrodnie były hitlerowskie 90 ludzi do obozu wzięto. Po wojnie wróciło 7 i to mojego kuzyna teść był zabrany. Wrócił, ale żył bardzo krótko.

Chciałbym jeszcze opowiedzieć o pewnym wydarzeniu, był 43 rok, na jesieni Niemcy byli w odwrocie, robili pacyfikację całej Lubelszczyzny, to były takie ostatnie chwile dla nich, ostatnie podrygi. Chcę tu nawiązać do mojego ostatniego dowódcy Tomasza Kowalika, przepraszam Antoniego Kowalika, bo o Tomaszu mówiłem, co została ta rodzina spalona, a z Antonim Kowalikiem to nawet rodzina nie była, nazwisko zbieżne. Było sześciu chłopaków, a po wojnie został tylko on jeden i matka. Jeden zginął w bitwie pod Nałęczowem, tam Niemcy mieli swoje sanatorium dla żołnierzy frontowych, tam prowadziła kolejka wąskotorowa z Nałęczowa do tego ośrodka, i tam zrobiono zasadzkę na Niemców. Jeden z braci tam zginął, jeden był do obozu zabrany, jeden z nich, nie pamiętam jego imienia, znalazł się w pułapce, ukrył się u swojego wujka w wiatraku w piwnicy. Ale Niemcy widzieli jak on ucieka i wytropili go, wyciągnęli i zabrali do Puław, zidentyfikowali, przywiązali ręce łańcuchem do bagażnika samochodu. Z Puław do Gostowic to jest 5 km, tam jego rodzina mieszkała i go ciągnęli, ile mógł to biegł, jak w końcu już nie miał siły to ciągnęli jego zmasakrowane ciało. Przywieźli go na podwórko i zastali tam ojca i dwóch młodszych braci, jeden 6 i 8 letni. Wyciągnęli ich, kazali wykopać sobie dół na podwórku i w tym miejscu zastrzelili tego ojca dwóch braci. Matka ocalała, bo była gdzieś poza domem. Ja akurat w tym czasie byłem na skraju wąwozu, widzę, że jakaś kobieta leci do lasu, ja ją

spotkałem i ona opowiada, że tam jest gestapo, że jest strzelanina. Później dowiedzieliśmy się że z całej tej rodziny została tylko ona i matka. Teraz nie mam z nim kontaktu, ale po wojnie kilka razy tam byłem.

Nastał maj 1944 roku, front doszedł już do Wisły, Niemcy okrążyli Radom, byłem w mieście i nie mogłem wrócić do swojego oddziału. Siostra mnie zameldowała u siebie, w ten sposób mogłem się jakoś uchronić i miałem taką przygodę. Musiałem razem z robotnikami pracować, dźwigać worki, cukier, mąkę, kaszę na plecach itp. Jak przyszli i nie wiedzieli, kim jestem specjalnie poganiali do roboty. Jak przyszło parę wagonów cukru i wszystko trzeba było rozłożyć to za pierwszym razem jak taki niezaprawiony do pracy byłem to leżeć nie mogłem, bo na kręgosłup nie mogłem się wyprostować. W styczniu został wyzwolony Radom, Niemcy co zdążyli uciec to uciekli, a ci którzy nie zdążyli, to zostali zatrzymani. Ja mam taki makabryczny obraz w pamięci, rodzice moi mieszkali w blokach fabrycznych przy fabryce broni (ojciec tam pracował). Z bloków wysiedlili mieszkańców, między innymi moich rodziców i tam była siedziba gestapo. Zaraz dzień po tym jak Niemców nie było, to każdy z ciekawości zerkał do tego gestapo. Był taki rząd komórek, do przetrzymywania opału – węgla. I za tymi komórkami zastaliśmy makabryczny obraz – cały rząd martwych zastrzelonych ludzi. Wiedzieliśmy, że jeszcze w ostatniej chwili gestapowcy, aby się czegoś dowiedzieć łamali palce w celu wyciągnięcia jakiś informacji. W każdym razie było gdzieś ok. 10 osób, twarze mieli sine.

## Rozdział IV

### W mundurze Wojska Polskiego.

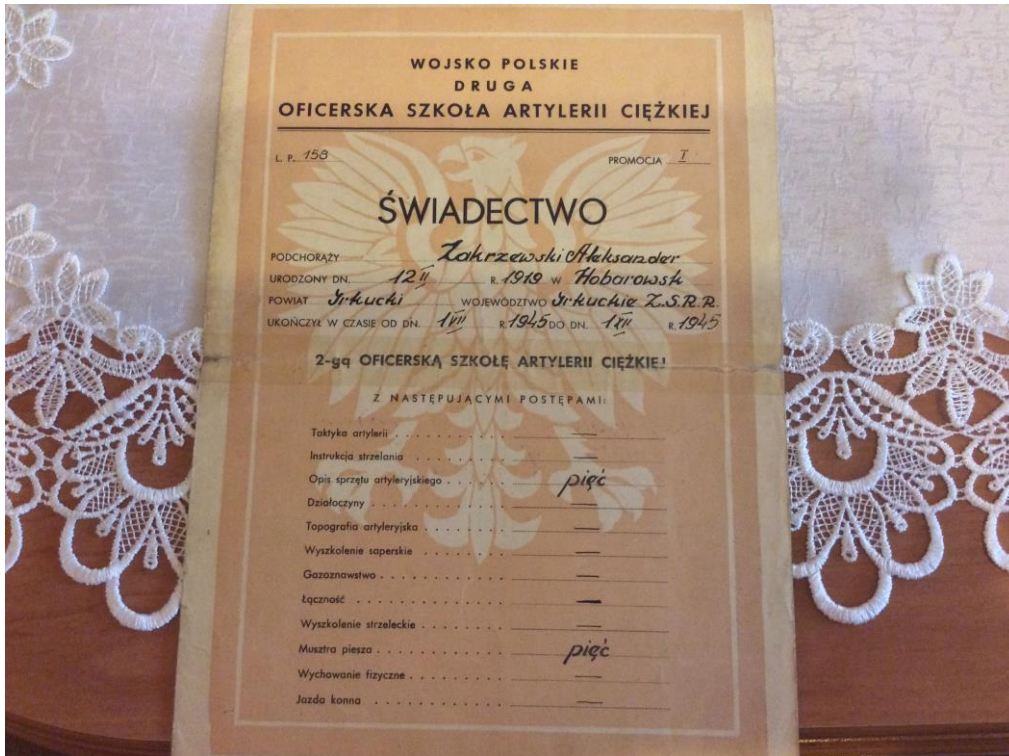
Zostałem powołany do wojska, przeszedłem przeszkolenie w miejscowości Glitki. Po dwutygodniowym przeszkoleniu, już kierowali nas na ten front w kierunku Budziszyna, ja byłem w 2. Armii. Przeszkolenie było krótkie, bo młodzież przed wojną miała w szkołach obowiązkowe przysposobienie obronne i strzelać każdy z nas prawie umiał, doszliśmy gdzieś za Nysę. Pamiętam, że wtedy był taki ciekawy przypadek przy forsowaniu Nysy. Mosty były zniszczone, więc budowane były mosty pontonowe, żołnierze przeprawiali się na różnych deskach nawet na snopkach słomy na drugą stronę. Wojsko czeka na przeprawę, żołnierze na plecach mają plecaki, czyli takie worki na końcach zawiązane na takich rzemieniach, u góry zawiązywało tak jak worek i tam był cały dobytek. Tam była poduszka, jakiś ręcznik i inne potrzebne rzeczy, bombardowanie silne przyszło. Jeden mówił: „Zobacz co mi się na tych plecach stało z tym plecakiem, popraw mi go” a on nie miał plecaka tylko gołe plecy. Te plecy były podrapane, tylko krew, nawet nie czuł tego. To było niby śmieszne, ale on nie czuł tego bólu.

Dowódcy byli prawie wszyscy Rusczy, Polaków było bardzo mało. Było mało czasu, aby przeszkolić tylu ile potrzeba. Niemcy byli już w odwrocie, przyleciał samolot, parę bombek rzucił, ale nic specjalnego nie zrobił, a Rusczy jechali pociągiem do transportu amunicji, broni i części zapasowych do uzbrojenia. Może tego nie powinienem mówić, ale takie życie było. Wojna psuje, demoralizuje ludzi. Ten wódz to był dobry człowiek, ale musiał się napić, bo jak się nie napił, to był do niczego. I gdzie zaszedł, to wszędzie oferował oświetlenie z baterii, to były łucze, takie akumulatory ługowe, które nie miały wkładu, tylko po zużyciu same się regenerowały, on te akumulatory oferował wszystkim za wódkę. Wtedy światła, prądu, nafty nie było.

Koniec wojny zastał mnie na Śląsku podczas marszu w kierunku Budziszyna, tam krwawe walki były. Mogę powiedzieć, jak to wyglądało. Na koniec wojny na motocyklu przyjechał jakiś goniec do dowódcy. Chyba 9 maja to było, ogłosił, że to koniec wojny. Żołnierze byli w wielkim napięciu, radość wszystkich ogarnęła, po prostu był szal, jeśli ktoś miał jakąś broń to strzelał, granaty na boki rzucali, żeby się ich tylko pozbyć. Czapki i marynarki rzucono w górę, całowali się, wielka radość była. No i tyle mam do powiedzenia

z moich działań. Ja doszedłem do Budziszyna i 2. Armia zawróciła, bo jeszcze ten front był taki porozrywany na terenie Czechosłowacji. Były jednostki armii, które się broniły. A jeśli chodzi o bitwę pod Budziszynem, to z tego co mi wiadomo, to tam były dwa pierścienie, część żołnierzy to byli Polacy, a część to Rosjanie, byli otoczeni przez Niemców. Niemcy robili masakrę z tych ludzi, bo armia, która wracała z Afryki, szła na pomoc Berlina, mieli przeszkodę, więc mścili się, armia radziecka otoczyła tych Niemców i oni zostali w kotle. Z jednej strony byli Ruscy, z drugiej Polacy, armia niemiecka została rozbita, wzięta do niewoli, to były ostatnie dni przed końcem wojny.

Jak już zakończyła się wojna, żołnierze wracali, jednostki były rozkompletowane i był nabór do szkoły oficerskiej. To nie były wyższe uczelnie, tylko szkoły chorążych, bo do tej szkoły chodziło się jako chorążych. Po wyzwoleniu zostałem skierowany do Torunia na oficerską szkołę uzbrojenia. Jak przyszedliśmy do Torunia, do tej szkoły to był tam jeszcze ruski szpital frontowy. Ta szkoła istniała jeszcze przed wojną. To była 2. Oficerska Szkoła Artylerii. Wojna się skończyła, ale jeszcze na terenie Polski gdzieś tam Niemcy byli zabarykadowani, ukrywali się w lasach, bronili się, walczyli, były takie przypadki np. w Grudziądzu, że po dwóch czy trzech latach cytadela została zbombardowana. Górna część została zniszczona, zasypana a były tam 3 kondygnacje wewnątrz i Niemcy przez trzy lata ukrywali się w niej. Ja później byłem w Grudziądzu. Tam były magazyny mundurowe i żywnościowe i oni dzięki temu mieli konserwy, świece. Ruscy stopniowo opuszczali poszczególne budynki, a tych budynków było dużo. Była tam też wcielona kompania kobiet, które z frontu zostały wycofane, był taki barak, w nim mieszkały, musiały sprzątać i przygotowywać do utworzenia Oficerskiej Szkoły Artylerii. Mam dyplom z tej szkoły oficerskiej, ale to była bateria techniczna, która była pierwsza w promocji, którą dostaliśmy wyjątkowo wcześniej. Potem przyspieszyli, ja dostałem promocję w grudniu 1945 roku, ale szkoła miała trwać rok.



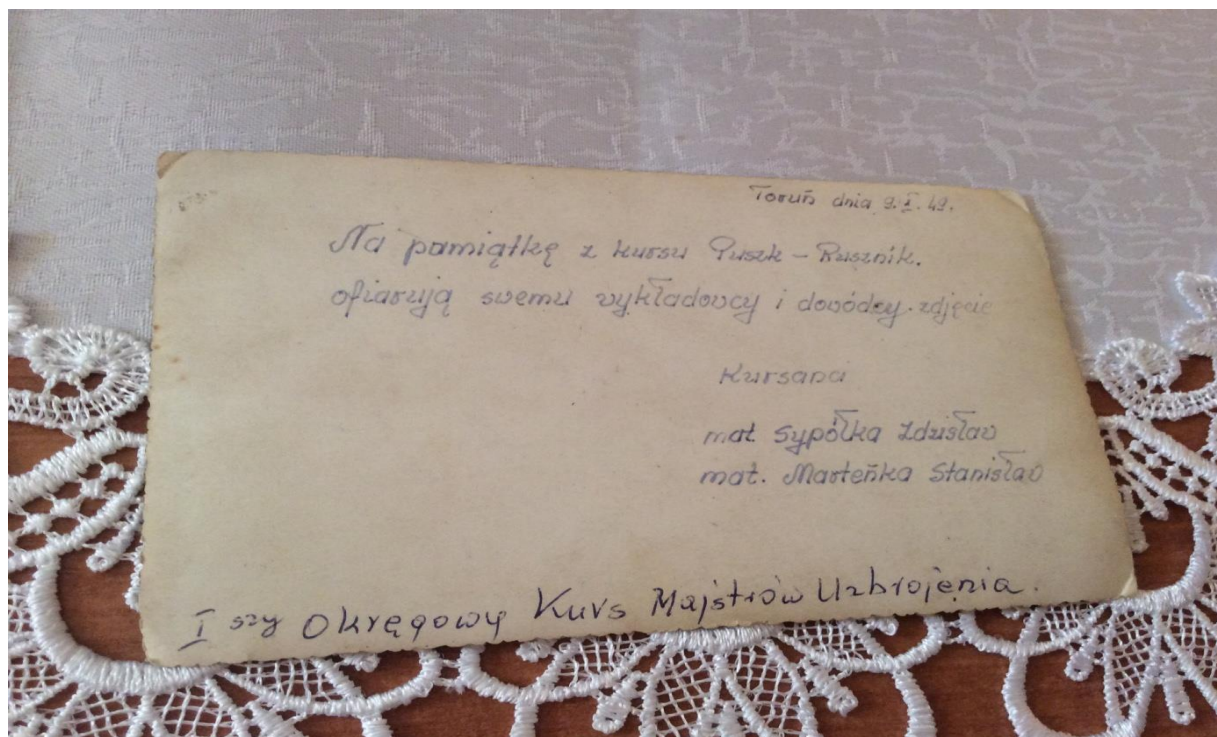
Świadectwo z ocenami z ukończenia 2 Oficerskiej Szkoły Artylerii Ciężkiej w Toruniu.

Będąc w szkole, wyjeżdżaliśmy na akcje oczyszczenia terenu. Mam zdjęcie z jednej takiej akcji, mnie akurat posyłali na takie odcinki trudne, wiem, że w koszalińskim w okolicach Łebska, były nawet toczone długie bitwy. Po ukończeniu szkoły zostałem skierowany do Gdańska. Byłem w stopniu chorążego, byłem trzecim Polakiem w pułku, reszta to byli rosyjscy dowódcy. Był tam kapitan Szpakow, jeden – bardzo fajny człowiek, drugi to był Mijanow, ten to był w porządku, dziewczynę sobie przygruchał, później się z nią ożenił. Miał dwoje dzieci i z tego co wiem, bo jeszcze długi czas byli w Polsce. W czasie pobytu w Gdańsku w zimie 1945 roku miałem przygodę. W samym Gdańsku była Biskupia Góra i na tej górze stracony był kat Gdańska. Już jego nazwiska nie pamiętam, bo my byliśmy w ochronie, żeby nie dopuścić do linczu. W każdym razie, co jest ciekawe, były tam magazyny amunicji. Ja byłem przyjęty do jednostki artylerii ciężkiej i tam była amunicja, pociski do armat 120 milimetrowe. Nawet 152 armaty były. To była budowla wojskowa otoczona wałami ochronnymi, które broniły nas przed falą uderzeniową, a wewnątrz tych wałów były takie różne chodniki przy wejściach. My tam składali amunicję, trzeba było konserwować te różne pociski, bo one miały tę tendencję, że na wierzchu tworzyły się takie kryształki, które były bardzo niebezpieczne. Taki materiał wybuchowy trzeba było, co jakiś czas czyścić, szczególnie w takich warunkach. Były takie podziemne korytarze, lochy, niektóre wejścia były specjalnie zamurowane, ja tam musiałem codziennie być, nadzorować pracę, żeby nic się tam nie zdarzyło. Przychodzi do mnie żołnierz: „Panie chorąży, panie chorąży, coś ciekawego Wam pokażę, zobaczycie, jakie lochy”. No i szliśmy, ale mieliśmy tylko zapalki i świeciliśmy sobie, uszliśmy kilkadziesiąt metrów w głąb ziemi. On szedł pierwszy, a ja szedłem za nim, a za mną jeszcze czterech czy pięciu żołnierzy ciekawskich. Ja patrzę... jedno wejście nie ma załogi i nie wiadomo, gdzie teraz iść. On nas zaprowadził, a tam jeszcze w tyle Niemcy zostali. Wisiał tam człowiek, zabraliśmy jego ciało. Już nie szukał wyjścia, jakieś dwa metry wysoko było okienko i on tym okienkiem tam wskoczył.

Później byłem w jednostce jako technik artyleryjski, następnie byłem kierownikiem warsztatów. W 1947 roku tworzone były w Toruniu kursy majstrów uzbrojenia.



I Okręgowy Kurs Majstrów Uzbrojenia, Toruń 1949 rok.  
Na pamiątkę z kursu swemu wykładowcy i dowódcy zdjęcie  
Kursanci mat. Sypółka Zdzisław, mat. Marteńka Stanisław.  
Aleksander Zakrzewski siedzi piąty od lewej, rząd pierwszy.



Pamiątkowe zdjęcie z kursu z dedykacją dla wykładowcy, dotyczy zdjęcia powyżej.

Miałem dobrą opinię, pochwałą od marszałka Żymierskiego. Nie mnie samego, ale całą grupę na przeglądzie wyróżnił. Mamy wszyscy w dokumentach zapisane pochwały. I tak zostałem wyznaczony na kierownika kursów majstrów uzbrojeniowych. Były to kursy ze wszystkich rodzajów broni: z marynarki, z czołgów, piechoty, z artylerii. Dwa takie kursy prowadziłem, później zostałem awansowany na szefa pułku, trafiłem do jednostki 34. Pułk Artylerii Lekkiej. Tam zostałem przydzielony, to było po 8 czy 10 latach służby. Później wróciłem do Grudziądza i tam zostałem awansowany na szefa uzbrojenia brygady, to była jednostka nie gospodarcza tylko dowódcza.



19 Brygada Artylerii Ciężkiej – Grudziądz 1951r.

Miałem jakieś poważanie, trafiłem na dowódcę w Inowrocławiu. Ruski dowódca, bardzo porządnym pułkownikiem Dulajew. Jak on awansował to mnie ciągnął za sobą. Miał zaufanie, także mogę uczciwie powiedzieć, że nie byłem członkiem partii, a byłem w stopniu porucznika i to mnie Dulajew namówił. Byliśmy na poligonie, miałem chyba 10 poligonów letnich i zimowych i przyjechał zabrać mnie na kontrolę, pojechaliśmy koło Inowrocławia do Gniewkowa. Był wymagający, służbowy ale wymagał od ludzi i od siebie, to mi się



podobało, wiele dobrego się od niego nauczyłem. Krótco z nim byłem, niewiele skorzystałem, bo jak mówiłem zostałem zwolniony. Wspominam go bardzo dobrze. Pół roku mnie nie było, więc ktoś musiał mnie zastąpić w pracy. Na pożegnanie mi powiedział: „Szkoda mi takiego oficera”. Ale byłem pyskаты nieraz. Jak mi się coś nie podobało, to miałem przygody. Była strzelnica, nie było schronu tylko był nasyp i za ten nasyp trzeba było się chować. Ja akurat nie byłem obecny w trakcie strzelania, bo byłem wytypowany do prac specjalnych, byłem zajęty i w tym czasie zdarzył się wypadek. Trzeba było dochodzić, zobaczyć, jakie są trafienia i jak trafił, to ustalało się czy przesunąć puszkę w prawo czy w lewo. Chowali się jak on szedł z powrotem na stanowisko i krzyczał „Uwaga strzelam” żeby nikt nie wychodził. Kogoś zaciekaWiło wiadro i chciał zobaczyć, jak kula przejdzie przez to wiadro, żołnierz krzyczał „Uwaga strzelam” i strzelił. I trafił go w kolano. A ja za to dostałem 10 dni aresztu domowego, bo byłem odpowiedzialny za to.

Po zwolnieniu z wojska dostałem pracę i mieszkanie w Świdniku w zakładzie lotniczym. Przyjechałem, żeby zabrać swoje rzeczy i poszedłem do dowódcy prosić o samochód, żeby odwiózł mnie na stację, bo miałem wagon zamówiony. Szybko załatwił mi sprawę z samochodem i za paliwo nie kazał płacić. A na końcu się mnie pyta „A kto będzie nosił rzeczy?” Mówię, że siostra trochę pomoże, trochę ja. Zaraz wziął za telefon i dzwoni do plutonu, kierowca, on też musi nosić. No i tak moje rozstanie ze służbą się skończyło. Szczerze mówiąc, to wojsko polskie, które szło od wschodu nie miało żadnego szacunku, dlaczego tak mówię? Bo my mieliśmy u boku armię radziecką, ale to byli Polacy. W moim roczniku to mogę wymienić nazwiska, bo niektórych pamiętam. To byli ochotnicy, którzy byli internowani w głąb Rosji. Oni byli wywiezieni i jak tylko powstało wojsko polskie, to się do niego zgłaszali, aby jak najszybciej wrócić na swoją ziemię. Rodziny były wywożone i nie miały żadnego sposobu na powrót na swoje ziemie. Druga sprawa, że my Polacy byliśmy, przez Rusków trochę niżej traktowani. Ale wiedzieliśmy, że trzeba siedzieć cicho. My przywieźliśmy obyczaj kultury i religię polską. Ja miałem taką sytuację, będąc w Gdańsku, pierwsza Wielkanoc na wyzwolonej ziemi w 1946 roku. W rusznikarni chłopcy zrobili takie przyjęcie, podzielili się jajkiem, udekorowali sianem szable i karabiny, ja na wszelki wypadek zgłosiłem to dowódcy, a dowódcą był kapitan Gardiejew – bardzo niedobry człowiek. Nazwał mnie bandytą. Ja się nie ujawniłem, jak przyszedłem do wojska, że byłem partyzantem, bo nie wiadomo było, co i jak, przyszła koleżanka i schowała moje dokumenty, ale na jednej balandze wygadałem się, no i on zażądał ode mnie motocykla, który miałem przed wojną, ale mi go było żal, bo ja go sam przed wojną kupiłem i teraz miałem mu oddać.

W pewnym momencie powiedział, że jestem bandytą. Ja znałem jego wszystkie sprawy, bo jak Gdańsk był wyzwolony, to tam byli Ruscy i były magazyny wina i te wina odpływały statkiem. Poza tym byłem świadkiem, jak w Gdańsku wysiedlali Niemców do obozów przejściowych w porcie i stamtąd na statek i do Niemiec. Oni szli z bronią i Niemców rabowali : złoto, zegarki, obrączki, co było zabierali. Ja tą sprawę znam i jeszcze inne nieuczciwe, no ale co miałem zrobić? On powiedział, że jestem bandyta a ja, że on jest „wor” – po rusku to znaczy złodziej. Jak ja tak powiedziałem to wziął pistolet i skierował go we mnie, ja byłem bardzo szybki i też miałem pistolet i strzeliłem mu koło nogi, żeby nie było żartów i żeby wiedział, że drugi nabój mam w lufie. To powiedział „broś, broś”, a „broś” to znaczy przestań. No i policjant przyleciał i trzeba było się tłumaczyć, że broń wystrzeliła przypadkiem. Przez niego nie awansowałem, a ja jako prymus powinienem szybko awansować, a tak dwa lata czekałem. Miałem też taki przypadek - w koszarach był magazyn trofeów radzieckich, to były samochody, ciągniki różnego rodzaju, ogrodzone siatką i pilnował tego wartownik ruski. I była taka droga brukowa, lokalna i po drugiej stronie tej drogi były moje warsztaty. Któregoś dnia idzie grupa oficerów ruskich NKWD i otwiera magazyn amunicji, amunicja była ustawiona w tak zwane reje, w takich rzędach w skrzyniach. Patrząc a obok samochodów odkręcone były koła i szły one na handel. Ten ruski podchodzi do magazyniera daje mu plik pieniędzy i pocałowali się z tekstem: „To dla brata”. Znaczący, że to była spółka, oni załatwiali to z rosyjskimi wartownikami. Był wyznaczony sąd marynarki wojennej, z tym że, wyznaczyli do sądu wartownika. Ja znałem sprawę, byłem przekonany, że to była spółka, bo wszystko widziałem. Tego chłopaka zamknęli, a ruskim nic nie zrobili, jemu groziło 8 lat więzienia, on był z Grodna ze Wschodu, ja byłem ławnikiem, wtedy były takie przepisy, że ja musiałem się zgodzić, bo dwóch ławników było. Nie wiedziałem, że drugi ławnik to był ruski, bo bardzo dobrze władał polskim językiem w polskim mundurze, ja go nie rozpoznałem. Ale nikomu się nie przyznałem, że znam tę sprawę, bo jakbym się przyznał, to byłbym wykluczony. Ja jego broniłem, były 3 rozprawy i skazali go na 5 lat, później na 3 i jeszcze się nie zgodzili, później na końcu bez mojej zgody zostało mu półtora roku więzienia. Był taki polak, kapitan Motyka z Krakowa, bardzo uczciwy człowiek i on powiedział tak: „Załatwię Ci urlop, jedź, przywieź dokument potwierdzony przez władze, gdzie byłeś co robiłeś”. No i pojechałem, znalazłem dowódców, dostałem oświadczenie. Poszedłem do notariusza zrobiłem akt notarialny w poświadczeniu z dokumentami, przywiozłem, a on powiedział „Włos z głowy Ci nie spadnie”.

O s w i a d c z e n i e :

My niżej podpisani: Antoni Kowalik, pseud. "Jastrzęb", zamieszkały w Puławach na przedmieściu Włostowice i Jan Łuszczewski, pseud. "Grom", zamieszkały we wsi Rudy, gminie Koniskowola, powiecie puławskim, niniejszym stwierdzamy, i gotowi jesteśmy potwierdzić pod przysięgą, że znany nam osobiście Aleksander Makrzewski pseud. "Kozak", urodzony w dniu 12 lutego 1919 r. w Chałbarowsku, należał do oddziału partyzantki "B.Ch. i brał czynny udział w okolicy miasta Puławy, pod dowództwem "Jastrzębia", w okresie okupacji niemieckiej od 15 października 1942 roku.

Puławy dnia 30 lipca 1947 roku.

*Antoni Kowalik pseud. "Jastrzęb"*  
*Jan Łuszczewski pseud. "Grom"*

Reporter, dn. Nr. 417 dnia trzydziestego lipca 1947 r. dziesięćset czterdziestego siódmego roku. Niżej podpisany - Dr. Paweł Garapich Sędzia Grodzki pełniący obowiązki notariusza przy Oddziale Hipotecznym Sądu Grodzkiego w Puławach, mający kancelarię notarialną w tymże mieście przy ulicy Mickiewicza Nr. 5, niniejszym poświadczam, że podpisy powyższe położone zostały własnoręcznie, w obecności mojej i w mojej kancelarii przez nieznanych mi osobiście Antoniego Kowalik zamieszkałego w Puławach na przedmieściu Włostowice i Jana Łuszczewskiego, zamieszkałego we wsi Rudy, powiecie puławskim, którzy na dowód swych tożsamości okazali: Kowalik książeczkę wojskową, wydaną przez R.K.U. Lublin-powiat, w dniu 11 grudnia 1944 r. Seria A. 013133 i Łuszczewski - również książeczkę wojskową, wydaną przez P.K.U. Puławy w dniu 17 września 1934 r. Nr. 610/31. Pobrano opłaty na rzecz Sądów - 100 złotych.

Sędzia Grodzki p.o. notariusza

*Paweł Garapich*



Ja mu powiedziałem całą prawdę i po pół roku tego ruskiego zabrali, bo wyszły wszystkie jego rabunki po wyzwoleniu, bo ja całą tą sprawę opowiedziałem, bo wiedziałem wszystko od żołnierzy. I przyszedł nowy dowódca Kurbelt, z armii Maczka, ale długo nie był bo chorował, ja odszedłem, on też odszedł ale chyba do rezerwy. Moi podwładni awansowali, a ja nie, ja nadal chorąży. Pojechałem do Warszawy, by złożyć orzeczenie do cywila, jak nie nadaję się do wojska, to idę do cywila, ale ktoś się moją sprawą zainteresował, wróciłem i dostałem awans, potem już normalnie awansowałem.

Takie moje były przygody w służbie wojskowej. Były jeszcze takie groźne chwile, nastał 1946 rok, bardzo ostra zima. Mieliśmy sanie i konie. Jeszcze w pułku piechoty były działa pułkowe, armatki ciągnięte przez konie. I taka przygoda była w miejscowości..... To jeszcze mapy były po niemiecku pisane, dostawaliśmy je w terenie, żeby nie pobłądzić. Było zimno, ja miałem tylko płaszcz wojskowy i taki sweterek wojskowy cienki, a tu zimna była ostra. Koni szła cała kolumna i jakby ktoś się przewrócił ,to koń by na niego wlaźł. I z nami szedł kapitan Kruk, niezahartowany. Ja widocznie byłem bardziej zahartowany. Nie wytrzymał tej zimy. Ja patrzę z nosa mu krew leci i padł na ziemię, ja się rzuciłem, bo by go konie stratowały, my ponieśli go na sanie, kołderką go okryłem, był zadowolony. Jak dojechaliśmy do punktu, to ani kuchni, ani nic nie ma. Ja miałem tylko tych rusznikarzy pod sobą, mówią, żeby nam dali coś gorącego do jedzenia, bo zimno było. Przyszli i mówią „Panie chorąży mamy gorącą herbatę i chleb prosto z pieca. No i zaraz wyciągnęliśmy szklankę, herbatę, chleb jeszcze ciepły i ledwo zdążyliśmy to wypić, a już trzeba było dalej jechać. Pojechaliśmy dalej do Kościerzyna, żołnierze mieli noclegi w takich spichrzach. Już się ciemno robi i kapitanowie z innej kadry liniowej już mają kwatery znalezione, bo trzeba było sobie szukać tam na miejscu, a my nic nie mamy. W końcu przychodzi taki Petrus Łotysz, jest kwatera powiada, ale tam było jeszcze pełno Niemców i było tam niebezpiecznie, Niemcy specjalnie zostawiali nieraz takie pułapki wybuchowe. No, ale ten szef Szpakow mówi: „Mamy chłopcy dla Was dobrą kwaterę”. Znaleźli dla nas kwaterę, oni mieli kwatery już w normalnych miejscach. Kolacja uszykowana, pół litra na stole stoi, tamte tak po polsku słabo mówią. Coś jest nie tak, naszykowane łóżka, pierzyny, co mi się nie zdarzało dawno. Wypiłem kieliszek mówię, że nie piję, a on wypił sam prawie całe pół litra wódki. Położył się spać, a ja całą noc nie spałem, bo myślę: „Kto wie czy w nocy nie przyjdą i gardła mi nie poderzną”. No takie przygody były, skończyłem służbę w 1954 roku. Zostałem zwolniony przez komisję lekarską, zachorowałem, dostałem się do szpitala, pół roku tam byłem, chorowałem na płuca. Dostałem grupę inwalidzką, byłem długo leczony,

miałem wiele zabiegów i zwycięsko, że tak powiem, z tego wyszedłem, do wojska nie wróciłem, trochę mi było przykro, żal...



Gdynia 1945r. – 41. Pułk Artylerii Lekkiej Aleksander Zakrzewski pierwszy z lewej strony.



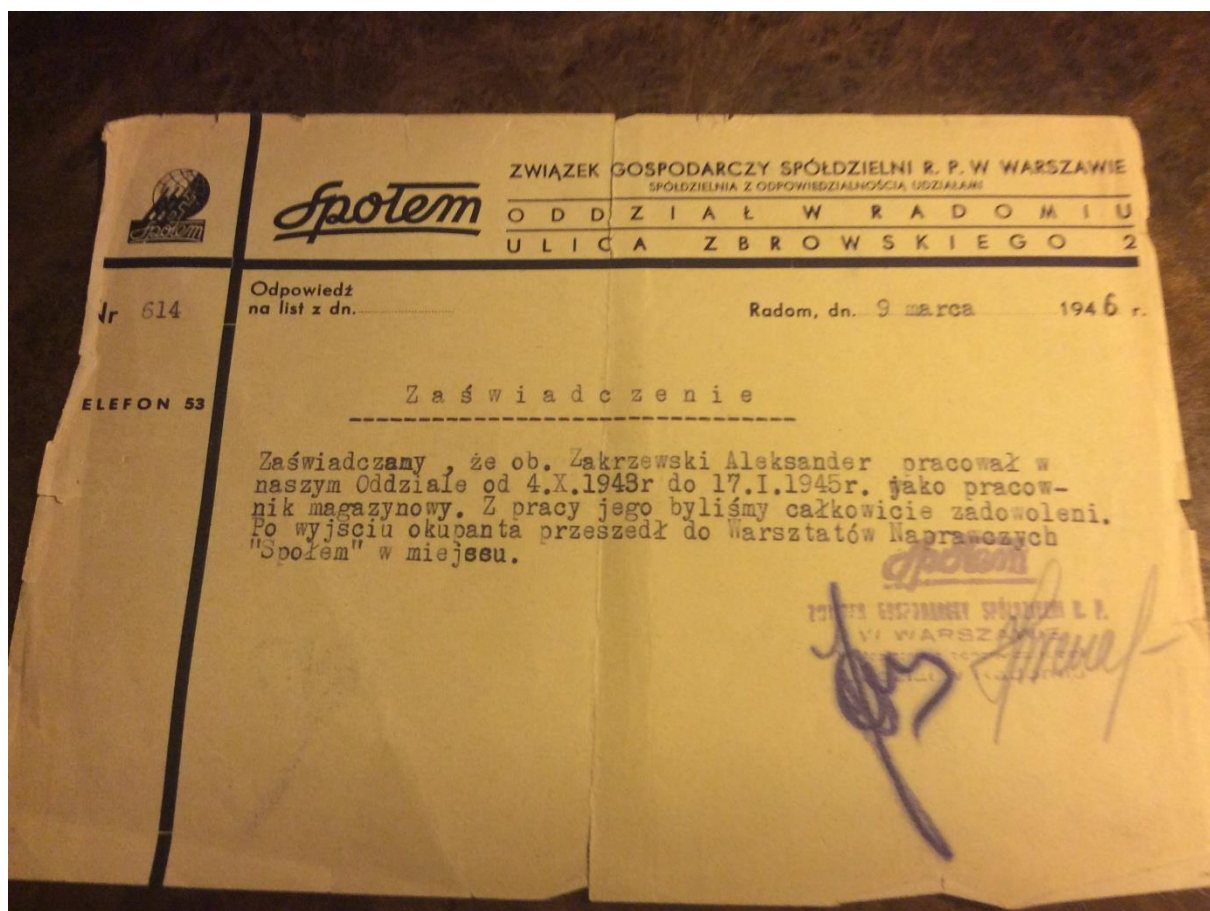
Toruń, 18 VIII 1945r, - bateria techniczna, pożegnanie kapitana dowódcy Baterii VII Technicznej.



Gdynia 1946r., 41. P.A.L., (trzeci od prawej chor. Zakrzewski)  
kpt. Szpakow, por. Niemijanow, chor. Zakrzewski, chor. Żak, kpt. Petrus, bombardier



Gdynia 1946r., 41. P.A.L., (trzeci od lewej chor. Zakrzewski)



Zaświadczenie o zatrudnieniu w okresie od 1943 do 1945r.



Gdańsk, Wrzesień 1947r.



18 VIII 1945r, Strzelnica artyleryjska.



Toruń 1948r., Oficerska Szkoła Artylerii.





Pan Zakrzewski w randze porucznika, mundur wzoru przedwojennego, 1949r.



Zdjęcie grupowe – okolicznościowe, 1946 r.



Przed stacją kolejową, 10 X 1945r., na patrolce, Aleksander Zakrzewski drugi od prawej.



60. Kartuzki Pułk Piechoty, 1947r.

Castraderenie

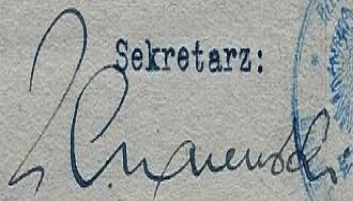
Stwierdzam, że ob. Rakowski Aleksander  
syn Piotrowski i Stanisław z Fuskeltin. 1949  
rami schował podczas okupacji niemieckiej we Wło-  
stowicach, m. Puławy i był więziony przez Niemców  
w skutek czego zmarnował cały swój dorobek ma-  
terialny, jest obywatelem prowadzenia moralnego.

15. III. 45r.

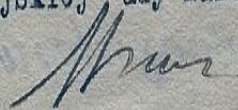
Puławy, dn. 20. III. 1945

Miejska Rada Narodowa w Puławach stwierdza wiarygodność  
podpisu b. sołtysa Grom. Włostowice ob. Zięby Jana. -

Sekretarz:



Przewodniczący  
Miejskiej Rady Narodowej:



Opis.

Tłumaczenie z języka rosyjskiego.

Komisariat Ludowy Spraw Wewnętrznych ZSRR.

Oddział Ewidencji Ludności - duplikat świadectwa urodzenia Nr.12 / zamiast zaginionego./

Wymieniony dokument wydane ob. Zakrzewskiemu Aleksandrowi synowi Bronisława o tym, że 12 lutego 1919 roku /dwunastego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku / w mieście Chabarowsku uczyniono w księdnę akt ewidencji noworodków notatkę w kościele rzymsko-katolickim 7 marca 1919 roku o urodzeniu z;

Ojciec Zakrzewski Bronisław syn Franciszka

Matka Zakrzewska Stanisława córka Henryka

Przewodniczący biura Z A G S / podpis nieczytelny./

Prowadzący zapisy / podpis nieczytelny./

Pieczęć okrągła u dołu w lewym rogu / nieczytelna/

Pieczęć podłużna u góry z napisem: Miejskie biuro Z A G S w Chabarowsku, 16 grudnia D W K Chabarowsk.

Na odwrotnej stronie dokumentu peczętowane zostały następujące notatki przez czynniki kontrolujące: Wymieniony dokument zalegalizowano w oddziale konsularnym Ludowego Komisariatu spraw Zagranicznych. Moskwa 4 stycznia 1936 roku.

Zastępca przewodniczącego Oddziału Konsularnego /-/ P. Nekunde.

Nr. 2010 Pieczęć okrągła nieczytelna oraz notatka w języku polskim treści następującej: Nr. 68 pobrane 1,25 rubla. Stwierdzam własnoścność podpisu p. Nekunde Zast. Dyrekt. Dep. Kons. Komis. Lud. Spraw Zagranicznych autentyczność pieczęci urzędowej Kom. Lud. Spr. Zagr. oraz zgodność aktu z prawem miejscowym.

Moskwa 20 stycznia 1936 roku /-/ Stanisław Eska.

Kierownik Wydziału Konsularnego Ambasady R.P. w Moskwie.

Pieczęć okrągła z godłem polskim pośrodku z napisem dookoła: Wydział Konsularny przy Ambasadzie w Moskwie.

-----  
Stwierdzam zgodność tłumaczenia z okazanym mi duplikatem urodzenia.

Grudziądz, 17 września 1954.r.

Rep. tłum. Nr. 65/54

Opłata: 18,00 zł.

Oryginał.

Tłumacz Przysięgły j. rosyjskiego  
w G r u d z i ą d z u.

-----  
/-/ Bierut Henryk /  
/ podpis nieczytelny./

Pieczęć okrągła z Godłem państwowym  
z napisem: Tłumacz Przys. Henryk Bierut  
w Grudziądzu.

Za zgodność z oryginałem:

*Ed. Chabiercz*

Urząd Sionu Cywilnego  
URZĄD MIĘSKI POZNAŃ  
26.06.1954



Pan Aleksander Zakrzewski w mundurze Wojska Polskiego.

## **Zakończenie**

Pan Aleksander Zakrzewski zamieszkał w Krzyżu Wielkopolskim w 1991 roku. Od kilkunastu lat aktywnie działa w środowisku lokalnym, stojąc na czele Koła Kombatantów oraz sprawując opiekę nad miejscową drużyną harcerską.

Często odwiedza krzyskie gimnazjum, przy okazji rocznic szkolnych i ważnych wydarzeń historycznych. Spotyka się z młodzieżą szkolną i harcerzami, opowiadając o swoich przeżyciach podczas II wojny światowej i w okresie powojennym. Organizuje również wycieczki do miejsc pamięci narodowej. Od wielu lat znany jest w środowisku lokalnym, uczy patriotyzmu nie tylko nas, ale również naszych rodziców. Przyczynił się do wzbogacenia „Szkolnej Izby Pamięci i Tradycji” o wiele cennych eksponatów, takich jak odznaczenia wojskowe, elementy umundurowania i sztandar.

Postać Pana Aleksandra jest ważna także dla uczniów miejscowej Szkoły Podstawowej w Krzyżu Wielkopolskim, ze względu na jej patrona – Bojowników o Wolność i Demokrację.

Młodzież szkolna ma coraz mniej okazji do spotkań z ludźmi, którzy doświadczyli okrutnych losów podczas II wojny światowej i mogących osobiście podzielić się tymi przeżyciami. Takie spotkania to „żywe lekcje historii”.

Pan Aleksander został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Partyzanckim Batalionów Chłopskich, Medalem Zwycięstwa i Wolności oraz Medalem Sił Zbrojnych w Służbie Ojczyzny.

12 lutego Pan Aleksander skończył 96 lat z okazji tak pięknej rocznicy urodzin

życzę dużo zdrowia i pomyślności.

**Aleksandra Maria Oto**

## Literatura

Praca „Taki los był mi pisany” powstała w oparciu o materiał zebrany podczas spotkań z Panem Aleksandrem Zakrzewskim. Wykonane zostały nagrania fonograficzne, które są zamieszczone do pracy jako załącznik. Dokumenty i zdjęcia zamieszczone w niniejszej biografii pochodzą z prywatnych zbiorów Pana Aleksandra, który wyraził zgodę na ich użycie i opublikowanie na potrzeby konkursu „ Ocalić od zapomnienia – okupacja we wspomnieniach rodzinnych”.